

[1]

(Pamiętnik zawierający szczegóły długiego życia)

Paweł Truskolaski

“Mój życiorys”¹

Część I

Rozdział I. Miejscowość rodzinna – rodowód, rodzeństwo.

Na Podlasiu w gminie i parafii rzymsko-kat. Sokoły, w powiecie wysokomazowieckim, województwo białostockie, dawniej ziemia (gubernia) łomżyńska, w odległości 5 kilometrów od miasteczka Sokoły na północ, 21 km od prastarego grodu, dziś małego miasta Tykocina, nad rzeką Narwią, gdzie do obecnej chwili stoi na rynku przed kościołem farnym wspaniały pomnik słynnego bohatera polskiego hetmana Stefana Czarnieckiego, 20 kilometrów od powiatowego miasta Wysokie Mazowieckie, zaś 38 km. od miasta woj. Białegostoku, leży w zaciszu, między wzgórzami, polami i lasami od strony zachodnio-północno-wschodniej mała wieś szlachecka Truskolasy Stare, nazywana przez mieszkańców sąsiednich wsi Starowieś (Stara wieś). W tej to wsi liczącej kiedyś, 60 lat temu wstecz 11 zagród, czyli oddzielnych gospodarstw rolnych, a obecnie jest tam takich zagród 15, urodziłem się dnia 15 stycznia 1882 roku ja Paweł Truskolaski z ojca Franciszka i matki Franciszki z Perkowskich małżonków Truskolaskich.

Dziadek mój, ojca ojciec, nazywał się Walenty, a pradziadek podobno Kajetan. Nazwisko pochodzi od nazwy miejscowości, wsi, która kiedyś, paręset lat temu, należała do jednego właściciela, a nawet istniejące tam po sąsiedzku 4 wsie takiej samej nazwy: Truskolasy Lachy, Truskolasy-Niwisko, Truskolasy-Olszyna i Truskolasy-Wola były podobno własnością jako folwarki tegoż jednego właściciela i tym właścicielem-dziedzicem prawdopodobnie był mój pra-pra-pradziad. Truskolaski z Truskolas.

Z biegiem lat duża posiadłość głównej wsi i folwarku, przechodząc na spadkobierców, rozdrobniła się, gospodarstwa stały się małe, a działki ziemi, dzielone na coraz mniejsze i drobniejsze, stały się wąskimi pasami, tak zwane tam jarki, półtoraki i zagony. Te wąskie pasy ziemi były długie i krzywe, średnio około 20-morgowe (12 ha) gospodarstwa miały ziemię w

¹ Prezentujemy kolejny fragment przygotowywanego do druku „Pamiętnika” Pawła Truskolaskiego.

kilkunastu i kilkudziesięciu, a nieraz i około 100 drobnych wąskich działkach. Wiele takich działek gorszej

[2]

ziemi leżało odłogiem, stanowiły zarośla i nieużytki. Tak samo łąki, pastwiska, zarośla i lasy składały się z wąskich działek, do których nieraz trudno było trafić.

Takie gospodarstwa zwane „w szachownicy” były marne, mało wydajne, niewygodne do uprawy. Pastwiska były wspólne. Gospodarze za dnia odżywiali się przeważnie kartoflami, niektórym często brakowało chleba. Między posiadaczami tych drobnych działek wynikały często spory o zaoranie, zakoszenie lub w inny sposób przywłaszczanie cudzej ziemi, a także o różne szkody wyrządzone przez inwentarz żywy. W sądach z tego powodu było mnóstwo spraw.

Pamiętam, jak tamtejsi drobni gospodarze, rolnicy biadolili nad takim stanem rzeczy i mówili, że kiedyś tam może nastąpi jakieś przymusowe scalenie gruntów w kolonię. Wówczas za czasów niewoli rosyjskiej – carskiej Rosji, nie było żadnej reformy rolnej, rząd carski nie dbał i bynajmniej nie troszczył się o poprawę drobnych gospodarstw rolnych. Jedynie opiekował się gruntami i gospodarstwami chłopów ukazowych – włościańskimi. Byli specjaliści Powiatowi Komisarze Ziemscy dla spraw włościańskich, Zarządy Gubernialne i główny (przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Petersburgu) dla różnych spraw i sporów włościańskich.

Jednak później po ruchu rewolucyjnym w Polsce od 1905 r. nastąpił zwrot w kierunku polepszenia sytuacji drobnych gospodarstw rolnych, gospodarze sami dochodzili do porozumienia, robili zebrania wiejskie, czyli gromadzkie, a przez powzięte na nich uchwały umawiali mierniczych – geometrów – i przeprowadzali scalenie gruntów, także przed wybuchem pierwszej wojny światowej – 1914 r. w tamtejszych okolicach mało było wsi niemających przeprowadzenia scalenia i skomasowania w kolonie swych gruntów.

Mój świętej pamięci ojciec był drobnym rolnikiem, po swoim ojcu odziedziczył małe i nędzne gospodarstwo, około 15 morgów (8 ha) ziemi różnego rodzaju w drobnych działkach i stare również nędzne

[3]

zabudowania: dom, stodołę i chlewy. Będąc dobrym rolnikiem, pracowitym, zapobiegliwym, oszczędnym i dbałym, pragnął poprawić odziedziczone, nędzne gospodarstwo, to też ożeniwszy się w młodym wieku, w karnawale 1875 r., z panną Franciszką Perkowską, córką gospodarzy, drobnych rolników, oboje usilnie pracowali, oszczędzali, dobrze żyli, modlili się i Pan Bóg im błogosławił.

Były dobre urodzajne lata, rodziła się – przy dobrej uprawie – pszenica i inne zasiewy, szczęściło się w dobytku tj. inwentarzem żywym, oprócz tego ojciec był zdolnym robotnikiem pod każdym względem potrafił zarobić poza gospodarstwem własnym.

Matka umiała ładnie prząć i wyrabiać samodziały, płótna, płócienka, ręczniki i sukna na sukmany i inne ubrania robocze – dawniej, jak pamiętam, przez wszystkich wieśniaków noszone, tak, że rzadko kto chodził w innych tak zwanych kupnych paltach i ubraniach, których to wyrobów znaczna część poszła na sprzedaż. W taki to sposób dorobili się, powiększając swoje gospodarstwo. Nabywali przy okazji drobne działki ziemi i w ciągu kilkunastu lat gospodarstwo wzrosło do 25 morgów ziemi. Postawili też nowe budynki – dom w roku 1894, a stodołę w 1903 r.

Wszyscy przy dzieleniu gruntów, w wymienionej mojej rodzinnej wsi coś dostali – w roku 1911–1912. Ojciec mój otrzymał dobrą kolonię, za to znacznie mniej ziemi, około 20 morgów, bo wypadła droższa ocenka. Główna kolonia tuż koło wsi. Siedlisko i działki w ogrodach pozostały te same. Działki na innych sąsiednich wsiach oddzielnie i leśna kolonia była ładna, zadrzewiona (około 3 morgi obszaru).

Gospodarstwo po scaleniu znacznie się poprawiło, podniósł się dobrobyt. Poprzednio na niescalonym gospodarstwie utrzymywali jednego konia, zwykle klacz i trzy sztuki bydła zimą, latem zaś więcej, bo musiały być dwa woły do orki ciężkiej tam ziemi, ponieważ dawniej, jak tylko zapamiętam, wszyscy w tamtejszej okolicy rolnicy drobni, a nawet dwory, uprawiali ziemię – orali wyłącznie wołami i nie pługiem, a sochą.

Socha była drewniana, zrobiona z mocnego drzewa, rodzaj

[4]

pługa w dwóch radłach, których końce musiały być okute w żelazne sośniki, które co pewien czas trzeba było ostrzyć u kowala w kuźni. Dopiero w początku XX wieku zaczęto używać do orki pługów i orać końmi, a nie wołami i tak pomału wszyscy drobni rolnicy zarzucili sochy i przestali hodować woły, za to mieli więcej krów i koni.

Po scaleniu gruntów ojciec miał stale dwoje dobrych koni i 3–4 krowy, oprócz tego coś z przychówku – jołószkę, kilka owiec, no i zawsze kilkoro świń, a do tego drób, w pierwszym rzędzie kury, jak to w każdym gospodarstwie rolnym. Był już wówczas pod koniec życia obojga rodziców dobrobyt, niczego nie brakowało tylko zdrowia, bo ojciec co raz podupadał na zdrowiu, a matka od listopada 1906 r. była chora, częściowo sparaliżowana. Mogła o własnych siłach poruszać się – to jest chodzić, przebieg choroby był zmienny, pogarszało się i poprawiało, czyli polepszało, aż w dniu 13 kwietnia 1913 r. zmarła.

Od czasu zachorowania matki do pomocy w gospodarstwie, oprócz synowej, zawsze była służąca. Ojciec zmarł w rok i trzy miesiące później – 14 lipca 1914 r., na dwa tygodnie przed wybuchem wielkiej pierwszej wojny światowej, po dłuższej, około dwumiesięcznej ciężkiej chorobie, mając lat 68.

Przy śmierci obojga rodziców nie byłem obecny, ponieważ od początku maja 1900 roku nie byłem w domu na gospodarstwie rodziców, a już od tego czasu na własnym chlebie, lecz o śmierci jak matki, tak i ojca punktualnie o czasie ich śmierci miałem nadzwyczajny wiadomości, a mianowicie:

Matki: mieszkałem wówczas już ze swą rodziną – żoną i dwiema córeczkami: Marysią i Stasią w Łomży, przy ulicy Pięknej, w domu nr 24, obecnie w czasie wojny spalonym. W tym dniu, w nocy z soboty na niedzielę nad ranem, w czasie snu w pokoju frontowym od ulicy usłyszałem mocne trzykrotne uderzenie po szybach okna jakby różgą, od czego obudziłem się i rozmyślałem, co by to było, a w kilka godzin później otrzymałem telegramę zawiadamiającą o śmierci i wzywającą na pogrzeb. Pojechałem i byłem na pogrzebie.

Ojca: byłem wówczas w Stawiskach Sekretarzem Sądu Pokoju. Znowu w nocy w czasie dobrego snu nad ranem około godziny

[5]

trzeciej usłyszałem w pokoju od ulicy silny trzask jakby coś ciężkiego obraz lub lustro spadło ze ściany na podłogę, od czego obudziliśmy się ja i żona. Poszedłem sprawdzić, co się odwalilo lub spadło, lecz zauważyłem, że wszystko było w należytym porządku, tylko mała bez ramek fotografia leżała koło komody na podłodze, która przez spadnięcie nie mogła w żadnym razie narobić hałasu przerywającego sen i zakłócić nocny spokój. I znowu w parę godzin przyszła telegrama zawiadamiająca o śmierci ojca.

Pojechaliśmy całą rodziną już z trzema córkami i byliśmy na pogrzebie, było ciepło, ładna lipcowa pogoda, lato. Podróż odbyliśmy furmanką, karetką żydowską do Łomży, a z Łomży inną do stacji Czerwony Bór, bo wówczas Łomża nie miała kolei do Śniadowa. Kolej została wybudowana w czasie wojny, wykończona w 1915 r., na krótko przed przyjściem Niemców, a ucieczką z Łomży i z całej Polski Rosjan.

Ojciec mój syn Walentego i Marianny z Kamińskich urodzony w roku 1846 w tejże wsi Truskolasy Stare miał troje rodzeństwa:

1. najstarszą siostrę Weronikę zamężną za Michałem Gobieckim, pochodzącym z Rusi, parafii Sokoły, tam posiadali małe gospodarstwo, które sprzedali i przenieśli się na stałe miejsce zamieszkania do Łomży przeszło 70 lat temu. Tu w Łomży nabyli nieruchomość przy ulicy Senatorskiej (obecnie Zdrojowej), ogród około 2 ha ziemi z placem i dwa stare domy

drewniane. Obecnie na ich miejscu stoi dom murowany pobudowany w 1910 r. przez ich dwóch synów: Pawła i Aleksandra. Mieli oni trzech synów: Józefa, Aleksandra i Pawła (już nieżyjących). Wszyscy byli żonaci i pozostawili potomstwo. Paweł zmarł w 1937 roku i pozostawił pięcioro dzieci: córki – Janinę, Anielę i Weronikę i synów – Pawła i Michała. Córki Janina i Aniela są nauczycielkami. Weronika została zabita przez bombę w styczniu 1945 r. w Zambrowie. Paweł był w wojsku w randze ppłk, zwolniony w 1955 r. do cywila. Zajmuje jakieś wysokie stanowisko w Ministerstwie Energetyki – naczelnik wydziału, a Michał po skończeniu Politechniki w Gdańsku jest inżynierem i kierownikiem działu ren. w stoczni w Gdańsku. Aleksander został zabity przez bombę sowiecką 11 września 1944 r. w czasie frontu i bombardowania Łomży, na dzień przed ustąpieniem Niemców i przyjściem, czyli zajęciem Łomży przez Sowietów. Żona jego w tym czasie została ciężko ranna, lecz wyleczyła się. Zmarła 1 lutego 1970 r., przeżywszy 84 lata.

[6]

Mieli dwoje dzieci, syna Teodora i córkę Olesię (zamężną, Bronowicz). Teodor posiada całą posesję po dziadkach, jest dobrym murarzem, ma siedmioro dzieci, powadzi mu się dobrze. Olesia i mąż jej Stanisław Bronowicz zginęli w czasie bombardowania Zambrowa przez Niemców w dniu 9 stycznia 1945 r. Oboje z Weronką – siostrą stryjeczną Oleśki, zostali zabici, bo bomba trafiła w dom i ich mieszkanie na poddaszu, cudem uratowało się ich dwoje dzieci niebędących wtedy w mieszkaniu, a na podwórzu. Najstarszy syn ciotki – Józef posiadał oddzielną nieruchomość przy ulicy Zdrojowej, którą, gdy owdowiał, sprzedał i ożeniwszy się w Siemieniu koło Łomży, tam dożył. Pozostawił troje dzieci, z których najstarszego syna zabił pocisk armatni w Baczach w czasie działań wojennych. Ciotka Weronika Gobiecka zmarła w bardzo podeszłym wieku w roku 1923, mając lat 90.

2. Drugi był brat ojca, a mój stryj Andrzej Truskolaski. Był pracowity, oszczędny, zapobiegliwy, a mając lat kilkanaście pojechał do Warszawy, gdzie otrzymał dobrą pracę, szanował się i w ciągu kilku, a może kilkunastu lat, zaoszczędziwszy sporo grosza, ożenił się z panną Roszkowską, pochodzącą z sąsiedniej wsi Truskolasy-Wola, a przebywającą w Warszawie, służącą u jakichś państwa, która miała część spadkową po rodzicach na tejże wsi. Tamże nabyli ładne gospodarstwo rolne: około 50 morg ziemi, w tym kawał lasu, dobre zabudowania i inwentarze. Powodziło się im dobrze i mieli pięcioro dzieci: trzy córki i dwóch synów – Józefa i Szczepana. Józef zmarł już kilkanaście lat temu, pozostawiwszy spore potomstwo – sześcioro dzieci, a Szczepan jeszcze żyje w tejże wsi Truskolasy-Wola i posiada połowę gospodarstwa pozostawionego przez rodziców.

3. Siostra ojca, a moja ciotka Marianna, zamężna, Wnorowska, mąż Jan pochodzący ze wsi Wnory-Kuzele, sąsiedniej parafii Kobylin. Zamieszkiwali w Warszawie, gdzie przez szereg lat zarobili i zaoszczędzili sporo pieniędzy, za które nabyli gospodarstwo rolne we wsi Truskolasy Stare. Na wydanym przez mego ojca ogrodzie-siedlisku pobudowali dom, stodołę i chlewy. Powodziło się im średnio, później gorzej, przebywali częściowo na wsi, częściowo w Warszawie. Mieli sześćcioro dzieci: trzech synów i trzy córki. Najstarszy syn Jan, przebywając chwilowo u ciotki Weroniki Gobieckiej w Łomży

[7]

i kąpiąc się w Narwi, utonął. Najmłodszy syn Leopold wyjechał do Ameryki, kilka lat temu zmarł. Córka Andzia, przebywając w Warszawie wyszła za mąż za Wojciecha Parowskiego pochodzącego z Porośli w parafii Sokoły, posiadali własną kamienicę w Warszawie przy ulicy Fabrycznej i dorożki samochodowe, powodziło się im bardzo dobrze. Przy nich był i dożył jej brat Wincenty. W czasie wojny kamienica i wszystkie ruchomości uległy zniszczeniu, dzieci padły ofiarą najeźdźców bądź zmarły. Sami oni, nie mając oparcia w Warszawie, podobno zamieszkują w Gdańsku.

Po śmierci wuja Wnorowskiego ciotka z pozostałymi dziećmi sprzedali posiadane w Truskolasach Starych gospodarstwo, przenosząc się na stałe do Warszawy. Druga córka Wiktoria była za mężem Bolesławem Jamiołkowskim w Sokołach, który jako żołnierz rezerwy zginął w niewoli niemieckiej w pierwszą wojnę światową. Wyszła ponownie za mąż i wyjechała do Białegostoku. Podobno mają tam swój dom. Trzecia córka Różia wyszła za mąż za malarza pokojowego. Był przystojny i dosyć inteligentny. W kilka lat po ożenku wyjechał do Ameryki i przepadł, ona podobno żyje jeszcze przy zięciu i siostrze Andzi w Gdańsku.

Ojciec mój był bardzo pracowity, oszczędny, wesoły, rozmowny, gościnnie, usłużny, dbały, zapobiegliwy, posiadający zdolności nie tylko w prowadzeniu dobrze gospodarstwa rolnego, lecz i do rzemiosła, oprócz wszelkich potrzeb w gospodarstwie umiał zreperować i podzelać wszelkiego rodzaju obuwie, a nawet zrobić nowe chłopskie buty, różne zwyczajne roboty stolarskie, ciesielskie, i inne niezbędne w każdym gospodarstwie domowym. Wszystko co było potrzebne, sam zrobił i zreperował, a nie tylko dla siebie, lecz i dla sąsiadów. Wszystkim mniej zdolnym zawsze służył pomocą i radą. Był lubiany przez wszystkich sąsiadów, znany był w całej parafii sokołowskiej, a nawet i w parafiach sąsiednich.

W wielu rodzinach był zapraszany na pośrednika przy kojarzeniu małżeństw, czyli ożenków, na tak zwanego rajka. We wsi swojej nie było domu, a u bliższych i dalszych krewnych nie było rodziny, żeby nie był kumem – chrzestnym ojcem, a jeżeli nie sam, to matka.

[8]

Miał ponad 30 chrześniaków, a matka, jak mówiła, miała chrześniaków 36. Żadne wesele we wsi i u wszystkich licznych krewnych w okolicy nie obeszło się bez obecności i udziału w nim mego ojca i matki, tak samo i każde chrzciny lub inne biesiady rodzinne.

Zawsze był trzeźwy, nie nadużywał trunków, jeżeli używał, to nie za wiele, z umiarem. Na weselach jako raj (rajko-wodzirej) umiał prowadzić i kierować tak, że nie było wypadków nieporozumień, kłótni, awantur i bijatyk i jakichkolwiek przykrych w skutkach zajść, jak to bywa obecnie, że na weselach lub innych zabawach, wskutek nadużycia alkoholu dochodzi do przykrych awantur i bójek, nawet z wypadkami śmierci. Dawniej, jak pamiętam, czegoś podobnego nie było. Umiał różne śpiewki, piosenki okolicznościowe i deklamacje konieczne przy obrzędach weselnych, praktykowane i obecnie w tamtych okolicach północnej części Podlasia.

Krewnym pomagał przeważnie pracą – odrywał się od pracy u siebie i dorywczo w pilnych wiosennych robotach rolnych lub żniwach, albo przy budowie pomagał krewnym, szczególnie wdowom nieposiadającym siły roboczej i odpowiedniego rodzaju sprzętu, troszczył się o dobre wychowanie ich dzieci. Pamiętam, mając lat 6, jak ojciec, stryjecznej swojej siostrze Scholastyce Truskolaskiej, z sąsiedniej wsi Truskolasy-Olszyna, mojej chrzestnej matce, będącej w stanie niezamożnym i bez rodziców, wyprawił u siebie w domu dosyć huczne wesele. Wydał ją za mąż za chłopca zza rzeki Narwi, ze wsi Kruszewo parafii Choroszcz koło Białegostoku. Całe dwa dni była radosna weselna zabawa, przy obecności licznie bawiących się krewnych i sąsiadów.

Najbardziej był pomocą siostrze Marysi Wnorowskiej, zamieszkałej naprzeciw za drogą, której mąż przebywał w Warszawie w obowiązku pracy, a ona gospodarzyła na wciąż szwankującym gospodarstwie rolnym, nie dającym – z braku dobrego robotnika i kierownika – dochodów niezbędnych na utrzymanie rodziny, a która za to odwdzięczyła się niewdzięcznością przez częste urągania i wymysły, i kiedy później sprzedawała gospodarstwo, ojciec ze starszym synem Franciszkiem chciał takowe nabyć, zapadła umowa na kupno z zadatkiem, lecz takową zerwała i gospodarkę sprzedała obcemu dalszemu sąsiadowi Jamiołkowskiemu Apolonowi.

[9]

Był religijny, przykładny, nigdy nie opuszczał w żadną niedzielę lub święta mszy świętej, czyli nabożeństwa, bez względu na pogodę, chociaż do kościoła było daleko – 5 km. Do kościoła przeważnie jeździli bryczką, a zimą na sankach, nie tak jak tu w okolicy Łomży w gnojówkach. Wszyscy domownicy chętnie jechali lub szli do kościoła, a w domu zostawał tylko ktoś potrzebny do pilnowania gospodarstwa i dzieci, kiedy były małe.

Zawsze żył zgodnie z sąsiadami, choć doznawał czasem krzywdy. Nie prowadził żadnych sporów i procesów, nie miał żadnych zatargów. Wszelkie obowiązki dobrego chrześcijanina i obywatela wykonywał sumiennie i akuratnie. Dzieci wychowywał w surowej karności. Za nieposłuszeństwo, jakieś wybryki i psoty, opieszałość w pracy lub wyrządzenie komuś choćby najmniejszej szkody, surowo, a nieraz z popędliwości i za bardzo surowo karał. Był prawie analfabetą, umiał się podpisać. Doceniając potrzebę nauki, posyłał dzieci do szkoły do Sokół, bo bliżej szkoły żadnej nie było. Była tylko jedna szkoła początkowa na całą dużą parafię i gminę. Wszystkie dzieci, których było sześcioro, umiały czytać i pisać.

Z powodu przepracowania i nieoszczędzania zdrowia kilka razy ciężko chorował. Raz w roku 1895 w same ważne roboty zbiorów jesiennych i zasiewów jesiennych. Do wykonywania tych robót nie było u nas nikogo oprócz mnie i młodszego ode mnie o 3 lata brata Mikołaja, małych jeszcze i słabych podrostków, bowiem najstarszego syna Franciszka, mającego lat 16, zdatnego już do robót rolnych, rodzice tegoż lata na wiosnę wysłali do Warszawy, do wujów mających się tam dobrze, w celu wykierowania go na jakiegoś fachowca lub kupca, ale grubo pomylili się, o czym będzie wzmianka później.

Po kilkutygodniowej chorobie ojciec poczuł się lepiej i, chociaż nie zupełnie zdrow, rozpoczął orkę, roboty i inne, a za tym zasiew, ze znacznym opóźnieniem, lecz wykonał wszelkie roboty bez pomocy najmniejszej siły. Z polecenia ojca w czasie jego choroby, my, mali jeszcze chłopcy – ja i Mikołaj, młóciliśmy cepami w starej stodole, bo wówczas – 62 lata wstecz, nie było żadnych kieratów, nie znali żadnych maszyn do młócenia zboża, żadnych żniwiarek i innych maszyn rolniczych – namłóciliśmy niezbędną ilość żyta, około 6 korcy, obecnie metrów i dwa korce pszenicy, bowiem mniej

[10]

więcej tyle wysiew oziminnych zasiewów wynosił w gospodarce rodziców. Mimo opóźnienia robót siewnych o cały może miesiąc, urodzaj na przyszły rok był dobry, nie gorszy od innych zasiewów wcześniej we właściwym czasie skuteczniejszych.

Później znowu ciężko chorował. W 1903 roku w porze jesiennej walczył ze śmiercią. Wówczas było już komu robić, bo najstarszy syn Franciszek był w domu, sprowadzony z Warszawy, aby się zajął gospodarstwem, ponieważ trzeci syn Mikołaj, zdatny już do wszelkich robót, wyjechał w tymże roku na wiosnę do Ameryki, a było jeszcze dwóch synów młodszych: Władysław i Roman, już zdatnych do roboty. Ojciec, choć wówczas wyzdrowiał, ale czuł się słabo, często uskarżał się na różne niedomagania i cierpienia, pracy jednak nie zaniedbywał, zawsze pierwszy wstawał, latem po wschodzie słońca, budził domowników i gnał do pracy czy

też pasienia wołów, koni, krów i innych żywych inwentarzy. Zimą wszyscy wstawali przed świtem po trzecim pianiu kogutów.

Później jeszcze raz przewyciężył ciężką chorobę w roku 1909, przygnębiony chorobą żony, cierpiącej nieuleczalnie od jesieni 1906 roku i innymi dolegliwościami, za tym śmiercią żony w 1913 roku na wiosnę, a w końcu w roku 1914 po Świątach Wielkanocnych zachorował. Z początku czuł się źle, ale jeszcze przez parę tygodni chodził, a od połowy maja już nie miał siły chodzić i w dniu 14 lipca, około godziny 3:00 rano, opatrzony w swoim czasie świętymi sakramentami, zakończył życie. Dzień śmierci ojca to była niedziela. Była ładna, upalna, lipcowa pogoda. Następnego dnia było wyprowadzenie zwłok do kościoła i po żałobnym nabożeństwie, z udziałem licznie zgromadzonych: rodziny, krewnych, sąsiadów i znajomych, nastąpiło pochowanie na cmentarzu parafialnym w Sokołach, na tak zwanej z dawien dawna "Nowej Górze", gdzie spoczywają prochy ojców, dziadów i pradziadów, w grobie obok zmarłej o rok i 3 miesiące wcześniej żony. Przy wyprowadzeniu z domu eksportujący ksiądz wikariusz Nowosadko wygłosił piękną mowę pożegnalną, a następnie, przed złożeniem trumny ze zwłokami do grobu, znowu była wygłoszona ostatnia mowa pożegnalna, bo tam jest taki zwyczaj. Również jest tam taki zwyczaj, że po nabożeństwie i pogrzebie wszyscy uczestnicy pogrzebu, czyli obrzędu pogrzebowego, dla lepszego uczczenia pamięci zmarłego, biorą udział w ogólnym poczęstunku, nierzadko dosyć obfitym, w zależności od zamożności zmarłego i pozostałej rodziny, w domu zmarłego, lub też w

[11]

domu parafialnym bądź też w innej gospodzie urządzonej.

W czasie takiego poczęstunku, czyli przyjęcia popogrzebowego, o ile odbywa się w domu po zmarłym, śpiewają pieśni pogrzebowe i opowiadają życie zmarłego i jego dobre zalety. I u nas po pogrzebie świętej pamięci ojca takie przyjęcie odbyło się w domu w Truskolasach, dosyć obfite, na którym byli obecni prawie wszyscy uczestnicy pogrzebu.